

ND APPLIANCE

THE SIGN OF A GREAT COOK®



APPLIANCE

STEFAN GRABIŃSKI

Po stycznej


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

STEFAN GARBIŃSKI
NA WZGÓRZU RÓŻ

Po stycznej

Wrzecki wyszedł z domu o trzeciej po południu.

Przedsięwziął dłuższą przechadzkę po mieście, by wśród bezcelowego błąkania się po ulicach, przekradania pomiędzy domami zagłuszyć katującą go od miesiąca zmorę myśli, przeciąć pasmo sylogizmów¹, uparcie rozciągających na torturach biedny mózg neurastenika².

Był rozstrojony do niemożliwości i wrażliwy na najdrobniejsze szczegóły życia wewnętrznego. Przed półrokiem przebył ciężką chorobę

¹*sylogizm* — rozumowanie przeprowadzone zgodnie z zasadami logiki. [przypis edytorski]

²*neurastenik* — osoba znerwicowana, o nadmiernie pobudzonym układzie nerwowym. [przypis edytorski]

umysłową, która rzuciła na gangliony³ niezatarte ślady swego przebiegu, jak odpływ pozostawia na nadbrzeżnych ławicach wywleczone morszczyzny. Rozgałęziły mu się warstwą przybylczą, zrazu obcą, pasożytną, by po jakimś czasie włączyć się jako organiczne ogniwo i wytworzyć nowe skojarzenia i związki.

Dawniej trochę bezładny w myśleniu, zaczął teraz rozumować z bezprzykładną logicznością aż do męczarni, kształtować całe szeregi najnieprawdopodobniejszych teorii i teoryjek i poddawać się ich sugestywnej pseudooczywistości.

Wytworzył się tu pewien rodzaj wyobrażeń musowych, imperatywnych, którym nie ulec było dlań niemożliwością.

Bez wątpienia przyczyniły się do tego w znacznej mierze zarodki czegoś podobnego już z lat dzieciństwa. Podłoże ich było wtedy religijno-mistyczne. Niespełnienie np. jakiejś błahej czynności, niewykonanie jakiegoś gestu itp. groziło mu ściągnięciem na się kary bożej, potępienia

³*ganglion* (z łac.) — zwój nerwowy. [przypis edytorski]

i przeróżnych nieszczęść. Samodręczycielstwo to wprawiało go czasami w rozpacz bez granic, gdyż skuty przesadną obawą umysł dziecka nie znachodził nigdzie wyjścia z katowni. W miarę rozwoju inteligencji obłąd mijał. Po przesileniu się nieszczęsnej choroby mózgu powrócił, chociaż w zmienionych znacznie kształtach.

Począł snuć z lodową logiką dzikie poglądy, układać szaleńcze teorematy⁴ i wypatrywać, czy przypadkiem nie znachodzą sprawdzianu w życiu go otaczającym. Najślabszy choćby cień czegoś w tym rodzaju nabierał w rozwydrzonej wyobraźni rysów pełnych, nasyconych i zniewalał go do poddawania się wnioskom stąd zajadle logicznym.

Doznawał dziwnej rozkoszy, ilekroć здавало mu się, że jego „systematy” zdradzają jaką taką rację bytu.

Niemniej jednak zaznaczyć należy szczególnie charakterystyczny, który poniekąd usprawiedliwiał go w niektórych wypadkach: istotnie

⁴*teoremat* — twierdzenie wyprowadzone z innych twierdzeń danego systemu naukowego. [przypis edytorski]

zdarzały się nieraz okoliczności tego rodzaju, że dostarczały mu tworzywa dowodowego; życie jakby siliło się umotywować bieg myślowy szczególnego osobnika. Lecz tu zaczyna się rozwiewna rubież słońca i nocy, jasności i mroków, grunt niepewny, torfiasty, wiecznie dymiący oparami, odurzający czadem. — Czy Wrzecki był obłąkańcem? Czy Wrzecki miał słuszność? — Może i jedno, i drugie. Dylemat bez wyjścia.

W gleczerach⁵ bytu nieci słońce skrwa-
we ognie,
Iglice szczytów dyszą krwią...
Gleczerzy bytu kwefy mgieł stuliły,
Na cyplach ćmi się noc...
Czy prawdą mgły, czy krew?
I z słońca mgły się rodzą...

Wrzecki już od godziny przecinał przecznice, krążył po najludniejszych placach, chodnikach, wystawał przed sklepami, czepiając się

⁵gleczer (z fr.) — lodowiec. [przypis edytorski]

szklanym wzrokiem krzykliwych barw i kształtów...

Dzień był jesienny, przeniknięty srzeżogą⁶ dymów, wilgocią dżdżu. Z rozchwiei mgieł wysnuwały się jakieś twarze widmowe, maski zagadek, zacięte usta symbolów. Zdawało mu się, że każda z nich patrzy weń ze szczególnym wyrazem, jakby porozumiewawczo, z sennie-nudnym grymasem, poza którym kryła się świadomość prawdy wspólnej, tak dobrze obojgu im znanej, że się nawet nie ma co silić na jej podkreślanie.

Znużyły go twarze: przeszedł na odludną ulicę.

Była wypełniona po brzegi mlecznymi złożami oparów. Szedł ostrożnie, by nie natknąć na latarnię. Po pewnym czasie uczuł na plecach czyjąś rękę:

— Serwus, Władek!

— A! to ty!...Nie poznałem — ale bo mgła zakuta!

Wrzecki serdecznie ścisnął podaną mu dłoń.

⁶*srzeżoga* (daw.) — lekka mgielka w upalny dzień. [przypis edytorski]

— Dokąd?

— Do prosektorium.

— A! do trupiarenki, operacyjka? Krajanie nieboszczyka? Co?

— Coś w tym rodzaju.

— Co to za cenny szpargał w kieszeni?

— Rzecz dość ciekawa: *O samozatruciu u wę-
żów*. Problem zajmujący. Kto wie — może i tam
bywają tragedie?...

— Hm! Rzeczywiście. Ale ty się widocznie
śpieszysz. Do miłego zatem!

Pożegnali się. — Wrzecki już miał skręcić
w prawo, gdy wtem dogonił go kolega medyk.

— Ale, ale. Korzystaj ze sposobności, do-
póki cię znów nie napadnie mania ślęczenia ty-
godniami w domu. *Mon cher*⁷, radzę ci przejść
się po wystawie. Oto akcja⁸. Pyszne rzeczy, na
honor! Parę niezrównanych szkiców i pejzaży
i nasz stary w gronie asystentów: wściekła gę-
ba! Wszyscyśmy pochwyceni jak złodzieje na
gorącym uczynku. Setny chłop! No, serwus!

⁷*Mon cher* (fr.) — mój drogi. [przypis edytorski]

⁸*akcja* — tu: bilet wstępu. [przypis edytorski]

Wsunąwszy mu w rękę akcję, szybko oddalił się.

Wrzecki machinalnie zawrócił w stronę wystawy. Po jakimś czasie wynurzyło się pytanie:

Co też mu zależało na tym, bym oglądnał obrazy? Także!...

W chwilę później zastanowiła go własna ciekawość co do owych papierów, wzierających z paltota młodego eskulapa⁹.

A przecież, gdybym się nie był zapytał, nie dowiedziałbym się tytułu rozprawki. Cóż mnie to znowu tak zajęło?

Obok mignęło w przechodzie jak przez sen dwóch mężczyzn o czymś żywo rozprawiających. Doleciał go urywek dialogu.

— Ależ na miłość boską, niewiadomy panu powód szalonego?

— Owszem, mówią, że pojedynek amerykański¹⁰! Wyciągnął podobno czarną...

⁹*eskulap* (żart.) — lekarz (od zlatynizowanej formy imienia gr. Asklepiosa, boga lekarzy). [przypis edytorski]

¹⁰*pojedynek amerykański* — pojedynek polegający na losowaniu ofiary, która następnie ma popełnić honorowe samobójstwo. [przypis edytorski]

Resztę zgłuszył turkot przejeżdżającego wozu, wchłonęła mgła.

Przecież to skończony idiotyzm zdawać się na takie rozstrzygnięcie sprawy — pomyślał.

Uczuł się bardzo znużonym: nerwowy ból głowy dokuczał mu nieznośnie. Usiadł na ławce pobliskiego skweru, wyjął papierosa i zapalił. Miejsce było zaciszne, wokoło przekwitających krzaków róż jesiennych. Drobne, herbaciane płatki, spadłszy z pąkowania, zatrzymały się tu i ówdzie na gałązkach lub rozsypały na trawniku w bezładny ornament. Na prętach dumaly łzawo krople mgły; zarysowywał się wąski, przejrzysty pasek, opijał wodą, pęczniał, wahał się, by wreszcie stoczyć się wyraźnym kształtem kuli. Coś podchodziło kryjonym ruchem do świadomości, wkradało się coraz dokładniej, natarczywiej... skryształizowało się.

Zastanówmy się. Czyś nie zauważył momentu wspólnego między spotkaniem z Brzegotą a fragmentem posłyszanej rozmowy? Aha! Jesteśmy na tropie. Samozatrucie u węzów i następstwa wyciągnięcia czarnej gałki. Wybornie!

Zachwycająco! Punkty zdradzają stylizację; możemy je połączyć.

Wrzecki był w wyśmienitym humorze: zwierzył materiał dowodowy dla jednej ze swych „teorii”. Specjalny zapał do matematyki nie pozostał i tu bez wpływu na sposób jej ukształtowania.

Wychodząc ze systemu planetarnego, przedstawił sobie graficznie bieg życia rozmaitych jednostek i zdarzeń jako wydłużone elipsy, po których dany osobnik krążył na sposób punktu matematycznego. Linie te stanowiły dla siebie zwarte całości, ze swoistą organizacją, ideą, planem, wyłączną konstrukcją. Elipsy te jak stosunki ludzkie musiały się oczywiście wzajemnie krzyżować, przecinać w najprzeróżniejszych kombinacjach, oddziaływując na się odpowiednio do zgrupowania jednoplanowego¹¹; wszystkie bowiem musiały rozpościerać swe skrety li tylko w jednej płaszczyźnie. Elipsy o kierunkach wichrowatych jako wyobrażenia zdarzeń i ży-

¹¹jednoplanowy — tu z łac.: umieszczony na jednej płaszczyźnie. [przypis edytorski]

ciowego biegu jednostek, zupełnie się wzajemnie stykających, nie znachodziły punktów przecięcia. Wśród tej zawilej sieci spostrzegł jednak Wrzecki, że krzywizny mogą się tak ustawić punktami największego rozmachu, że da się przez nie przeprowadzić linia prosta. Będzie nią styczna do elips łącząca ich kończyzny poza obrębem pól. Linia chwilowych pozycji, które w najbliższym momencie mają się zmienić na inne, konsekwentne z poprzednimi, pogonić dalej w obranym kierunku własnego ustroju, a przecież w tej jednej chwili służą za punkty oparcia nieubłaganej prostej! Linia zupełnie przypadkowych zdarzeń, śmiesznie bezcelowych zestawień, dziwacznych do bezsensu zbiegów okoliczności.

A jednak Wrzeckiemu przedstawiała się sprawa nieco inaczej: nauczył się dostrzegać pewną stylizację w doborze punktów największych wychyleń. Widział coś więcej poza przypadkowością szeregowania. Wedle niego można tu było wyśledzić specjalny związek, mający na celu coś wskazać, coś odkryć, spełnić jakąś prze-

znaczeniową rolę wobec tego, czyją uwagę uderzyła wyjątkowa linia. Dotąd Wrzecki pozostawał ciągle w sferze teorii: rozumował. Nie natknął jeszcze na swą stycznią w rzeczywistości, chociaż wierzył w możliwość jej realnego istnienia. Życie jego wirowało ciągle jeszcze jak u innych po normalnej elipsie, ulegało cierpliwie dośrodkowym siłom przeciętnych zdarzeń, nie wzbudzającej podejrzeń wynikliwości wypadków, psychologicznych lub mechanicznych następstw. Niemniej był gotów w każdej chwili, za najmniejszym potrąceniem z zewnątrz, wypaść z toru i podążyć z fatalną szybkością po zabłąkanej koleinie; przeczuwał, że wtedy odśrodkowe działanie weźmie nad nim stanowczo górę i popchnie go, jak koło wyslizłe z pasów transmisji, w zawrotne dale. Powlókłby go tam urok niezwykłości i pochlebne sprawdzenie teorii — a może... przeznaczenie. Wrzecki był czcicielem rzeczy tajemnych...

Gdzie mogła zaprowadzić przypuszczalna droga, nie wiedział. Zależałoby to od rodzaju jej punktów wytycznych. W tej chwili miał wra-

żenie, że poczyzna zbaczać; wywnioskował to z dwóch poprzednich zajęć u wstępu do przechadzki. Ciemna siła wytrącała go powoli z przypisanego obiegu i pchała prosto przed siebie. Dokąd — jeszcze nie przeczuwał. Koniec stycznej ginął w nieprzejrzanym obszarze perspektywy. A może się tylko przedwcześnie łudził? Może skrzywienia tak przecież zbliżone do prostej. — Postanowił być cierpliwym i czekać.

Powstał z ławki i ruszył ku gmachowi sztuk pięknych. Po drodze uzupełniał ostatnie wywody.

Sprecyzujmy fakta. Obok ideowej ich łączności występują teraz dość wyraźnie okoliczności uboczne. Biegnie tu właściwie podwójna linia więzby. Po co namawiał mnie Brzegota do zwiedzenia wystawy? Widocznie na to, by mnie skierować na ulicę, gdzie miałem spotkać tych dwu nieznajomych. Gdybym był poszedł swoją drogą, uniknąłbym spotkania. Oczywiście! Ależ mogłeś dojść do galerii przez plac Zgody! Nie! W takim razie musiałbym się cofnąć bez potrzeby i dużo drogi nałożyć. Nie! Sta-

nowczo należało skrócić w tę stronę. To jasne; stamtąd ta droga była jedyną. A więc Brzegota wprost popchnął mnie w objęcia tych panów. Kropka! Związek wykazowy. Zatem dobrze. Lecz jak u licha mnie to wszystko dotyczy? Do czego zmierza? — Spokojnie, tylko spokojnie! Rzecz się wyjaśni.

Przyspieszył kroku. — Zdenerwowanie i naprężona niepewność ujęły go w zwarte kluby. Jakiś ochryply głos przerwał tok dalszego rozumowania: po chodniku zataczał się pijany wyrobnik. Wrzecki chciał go wyminąć, lecz w tym momencie ujrzał przed sobą obrzękłą twarz i mdły obrzask alkoholu uderzył go w nozdrza. Człowiek wytrzeszczył nań krwią zasłte białka i jakiś czas wpatrywał się z bezmyślną zadumą opoja. Nagle oczy jego przybrały wyraz piekielnego przerażenia; odsunął się gwałtownie i zaczął bełkotać na pół otrzeźwiony:

— Walek! Chryste Boże! A ty tu co robisz? Ludzi po dniu straszysz? Szczezaj, maro!

— Tylko bez głupstw! Proszę mi zejść z oczu, bo wezwę stójkę¹²! No! Słyszał!

Na dźwięk ludzkiego głosu pijak oprzytomniał zupełnie.

— No, niech się pan ta nie gniewa. Nie ma czego. Sumiennie mówię, nie ma czego. Przywidziało mi się. Zwyczajnie przy niedzieli człek troszkę schlany. Ale bo też panisko podobniusięńki, jak dwie krople wody, do Walka. Jeno że z pańska ubrany, no i kapkę gładszy. A to chłopisko całe życie łąziło w łachmanach. Da libóg! Tak samusieńko wyglądał z pyska, jak go oderznięli z haka. Widzi pan — powiesiła się bestia z głodu.

Wrzeckiemu zrobiło się nieswojo. Chciał już zboczyć w sąsiedni pasaż, lecz zarobnik, zmierzający snadź¹³ w tymże kierunku, począł go prosić z uporem pijaka:

— Niechże pan z łaski swojej nie idzie za mną w te pędy. Tak mi głupio jakoś, jakbym śmierć miał na karku. Lepiej już rozejdźmy się.

¹²*stójka* (daw.) — policjant. [przypis edytorski]

¹³*snadź* (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

O! tędy wolna droga...— i przepuścił go mimo w wąski zaułek, o parę kroków dalej. By się pozbyć natręta, ustąpił. Robotnik zanurzył się w podsienia przechodniej bramy.

— Popędził po swojej elipsie — mruknął odruchowo Wrzecki. — Podążył wyznaczonym sobie ściegiem. Dla niego to tylko nic nie znaczący epizod. Nawet nie domyśla się swej roli w ubiegłej sekundzie.

Otarł czoło; było zlane zimnym potem. Obudził się instynkt samozachowawczy.

Sprawa zaczyna być zanadto wyraźną, znaki rzucają się na spotkanie ze zbyt szczerym wylaniem¹⁴.

Na mgnienie oka zabłysnął mu w oślepiającej jasności koniec opętańczej linii. Lecz starał się zgasić wizję wywodem:

Ależ to mnie nie dotyczy! I cóż stąd, że się temu pijanemu łazędze przewidział we mnie jakiś tam wisielec? To stanowczo mnie nic nie

¹⁴ze zbyt szczerym wylaniem — zbyt wylewnie; sens: zbyt wyraźnie, zbyt demonstracyjnie. [przypis edytorski]

obchodzi, zawsze miałem wstręt do podobnej śmierci.

Wkrótce jednak uznał niedostateczność racji i przeciągnął linię po punkt trzeci. Był niemal zrezygnowany i dawał się powoli zasugestionowywać nowo odkrytej drodze. Wśród tego nie uszło jego czujnej uwagi, że właściwie nie może już zwiedzić wystawy, bo zboczył, poddając się uporowi pijaka. Umocnił się tedy w przekonaniu, że w samej rzeczy nie chodziło bynajmniej o to, by podziwiał imponującą grupę młodych lekarzy z obrazu, lecz by umożliwić mu dwa najbliższe spotkania; gdy te przyszły do skutku, potrącono go znowu w innym kierunku. — Prześrocze szale motały się na przyczołach kamienic, wieszały w wykrojach nieba między dachami.

Przez wątłą ich tkaninę wnikwały w parowy ulic lśnienia słońca nieśmiałe, zmatowane.

To szczególne! Właśnie teraz, gdy i sprawa zaczyna nabierać plastyki konturów. Czyżby i to pozostawało w związku?

Dostał nerwowej drgawki koło powiek. Nogi poczęły wykonywać niezależne już od woli powiewne ruchy; przed oczyma ćmiły się wiotkie szare płaty. Z trudem dowlókł się do odkrytej werandy jakiejś kawiarni i ciężko obsunął się na kozetkę. Podano mu dzienniki i czarną kawę. Wychylił szklanekę łapczywie i wglębił się we wstępny artykuł „Figara”. Coś mu przeszkadzało, nie mógł czytać swobodnie. Parę razy już odwrócił głowę i kręcił się niespokojnie na miejscu, daremnie usiłując otrząsnąć się. Wyczuwał nerwami czyjś wzrok na sobie. Wreszcie otwarcie zwrócił oczy w stronę, skąd go niepokoiono. Dopiero teraz spostrzegł za stolikiem na prawo starszego już mężczyznę w żółtawym haweloku¹⁵, z szyją owiniętą szczelnie almawiwą¹⁶, który znać już od dłuższego czasu przypatrywał mu się z obrażającą ciekawością. Fizjognomia¹⁷ nieznajomego łączyła w dziwnej zgodzie sympatyczność z oryginalnością. Pomarszczona, wyzółkła jak pergamin twarz, z sze-

¹⁵*hawelok* (z ang.) — rodzaj płaszcza męskiego. [przypis edytorski]

¹⁶*almawiwa* (z hiszp.) — rodzaj szala a. peleryny. [przypis edytorski]

¹⁷*fizjognomia* (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

rokimi ustami, bez śladu zarostu, była stale nieruchoma jak maska starożytnego aktora: skóra na skroniach jakby przyschła do kości, które pod światło połyskiwały trupio-matowym lśnieniem. Wyglądał na uczonego podczas obserwacji dokonywanej na ciekawym okazie. Spod krzaczastych brwi wyzierały oczy specjalnej, zielonawożłotej barwy; tysiące fosforyzujących igiełek drgało tam szybkozmiennym ruchem jak w iskierniku baterii, nadając źrenicy wyrazu świetlanej przenikliwości; oczy te wżerały się literalnie w ciało i przepatrywały je na wskroś do najdrobniejszego włókienka.

Wrzecki zauważył, że nieznajomy nie patrzy mu w oczy, lecz studiuje raczej jego głowę na poziomie czoła. Już chciał podnieść się i zażądać wytłumaczenia od natręta, gdy ten wyprzedził go i wstawszy od stołu, począł krok za krokiem zbliżać się ku niemu, nie spuszczać oka z obranego punktu na czaszce. Wreszcie zatrzymał się tuż przed Wrzeckim i odezwał:

— Winszuję, serdecznie winszuję! To było celnie, co się zowie! Pi, pi, pi! I gdzie tra-

fione! W sam ośrodek wzroku — po przejściu przez wyrostek szyszkowy. Panie — to było arcydzieło w swoim rodzaju! No — przyznaj się pan — oślepieś na dobre! Ho, ho, ho! Co widzę? *Krupp et Compagnie*¹⁸! Średnica 9 mm, płaszcz stalowy prima sorta¹⁹. — No, no, winszuję — w centrum wzroku, ni na milimetr w bok...

Wrzecki nie rozumiał. Był tylko silnie podrażniony dziwaczną przygodą — tym bardziej że zwróciła uwagę gości, których grupa otoczyła jego tabletkę²⁰. Wreszcie wykrztusił dławionym przez wściekłość głosem:

— Garson²¹! Uwolnić mnie od tego wariata!

Lecz rozkaz okazał się zbyt wymagalnym. Nieznajomy, z palcem wyciągniętym ciągle ku jego czołu, począł cofać się powoli ku drzwiom, aż zginął w sąsiedniej sali. Widownia również

¹⁸*Krupp et Compagnie* (fr.) — Krupp i Spółka (firma produkująca działa). [przypis edytorski]

¹⁹*prima sorta* — najlepszego gatunku. [przypis edytorski]

²⁰*tabletkę* (z fr.) — stolik. [przypis edytorski]

²¹*garson* (z fr.) — kelner. [przypis edytorski]

rozprószyła się; tylko jakiś chudy, z angielska zakrojony gentleman nie ruszył się z miejsca, uśmiechnięty pod wąsem; robił wrażenie kogoś, który był niejednokrotnie świadkiem podobnych scen. Skłonił się lekko Wrzeckiemu i bez zapytania, zajmując obok krzesło, zagadnął:

— Jak widzę — nie sprawił panu szczególnej przyjemności występ wujcia Edzia?

— Czy mówi pan o tym wariacie?

— Właśnie. Nazywamy go wujciem Edziem; postać w naszej kawiarni powszechnie znana. Zachodzi tu w każdą niedzielę i święta. Fenomenalne połączenie sensytywa²² i szaleńca.

— Sensytywa?

— No tak. Musiał pan chyba słyszeć o tych wyjątkowych zdolnościach u pewnych anomalii; przed takim osobnikiem leży siatka nerwów, mięśni, system kostny, słowem, cały organizm ludzki jak mapa dróg kolejowych: przenika człowieka na wylot. Wujcio Edzio, niegdyś wcale tęgi lekarz, dorobił się, dzięki swej

²²sensytyw (z łac.) — osoba nadwrażliwa. [przypis edytorski]

specjalnej zdolności, kolosalnej fortuny. Używano go do introspekcji przy operacjach; oddawał olbrzymie usługi. Potem nagle zwariował. Odtąd dostrzega w swych pacjentach niemożliwe rzeczy. Tak np. u mnie skonstatował w komorze sercowej ni mniej, ni więcej, tylko istnienie mikromilimetrycznej żabki. Dobry sobie, co? U pana znowu dopatrzył się w zwojach mózgowych...

— Czego?... — Wrzecki drżał z niecierpliwości.

— Jak to? Na serio nie zrozumiał pan nic z jego gadaniny? Prawda, że wujcio Edzio lubi tajemniczość i ubiera swą diagnozę we formy pytyjskie²³: dlatego potrzebuje interpretacji. Otóż u pana znowu zauważył w korze mózgowej po mistrzowsku wpędzoną kulę...

— Kulę?

— Ależ naturalnie, *Krupp et Comp.* — przecież to pierwszorzędna firma amunicji. Co to panu? Pan pobladł? No, nie bądźże pan dziec-

²³pytyjski — tajemniczy (od imienia Pytii, kapłanki w wyroczni Apollina w Delfach). [przypis edytorski]

kiem! Także coś! Przejmować się bredniami starego bzika!

— Ma pan słuszność... zapomniałem się. Dziękuję za wyjaśnienia. Garson! Dwa szampany! Pozwoli pan, że naleję?...

Wychylił parę szklanek. Wrzecki nadaremnie starał się upić. W końcu zapłacił, pożegnał się z uprzejmym anglomanem i wyszedł.

Wyjaśniło się prawie zupełnie. Wzdłuż gzymśów murów, między szczytami drzew, po kopułach snuły się taśmy mgieł, rozwiewając się w przestworzach błękitu. Poprzez rozcieńczone żgła wcedzało się zachodowe słońce coraz soczystszą, dostalszą zabarwą. Wprost fizycznie odczuwał bolesne, rażące jego dotknięcia i wsuwał się skwapliwie między najciemniejsze zaułki pod ochronę cienia. Wyłoniła się jakaś nieuchwytna łączność między stopniowym wygrażaniem się słońca z oprzędzy mgieł a coraz wyraźniej zarysowującymi się konturami u kresu szalonej stycznej. Tempo, w jakim obraz nabierał wyrazistości, wydało mu się stanowczo za szybkie; z ochotą by je zwolnił, gdyby to od

niego zależało. Tak dotąd było dobrze błędzić między kotarami mglistych opon²⁴, tak ponętnie przemykać się nad krawędziami drzemiących co krok przepaści... Lecz igraszka miała się ku końcowi: spoza zasłony poczęło przeglądać kuszone daimonium²⁵, by ukarać niepokojącego je śmiałka. Na wargi cisnął się gwałtem jeden wyraz, jedna definicja, która by określiła dotychczasowy bieg faktów. Wyrywała się na usta, dobywała przemocą do świadomości — lecz usiłował ją zawrócić tam, gdzie wzięła początek. Nadaremnie! Słońce goniło w ślad, prażyło oczy, twarz, głowę, miotało zabójcze razy w piersi. Staął na rogu jakiejś ulicy niepewny, dokąd się zwrócić. Gdzieś z czeluści bramy błysnęła mu para roznamiętnionych twarzy.

— Rozstajna 30.

— Dobrze, przyjdę. Jakaś ty dobra, jakżeś bezmiernie dobra...

²⁴*opona* (daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

²⁵*daimonium* (gr.) — demon a. głos wewnętrzny. [przypis edytorski]

Machinalnie powlókł się pod wskazanym adresem. Raz jeszcze zrobił rozpaczliwy wysiłek samoobrony.

— Po co ja właśnie tam idę? Ha, ha! *Die verhängnisvolle Gasse*²⁶ — co?

Mimo to pędziło go w tamtą stronę. U zakrętu podniósł przypadkiem głowę; wzrok padł na wielki, błękitny afisz. Przebiegł punkt pierwszy programu:

„Signora Bellestrini, primadonna scen włoskich, odśpiewa jako przygrywkę: «Pepito, ach, tam wskażę ci, co czynić masz! Pepito, ach, ach, tam»” etc.

Dosyć. To wystarczy. Reszta niech służy do użytku publicznego.

W kwadrans później wstępował w klatkę schodową podanego numeru. Dom był trzy piętrowy: nasunęły się pewne wątpliwości co do piętra.

Nic nie będzie z tej głupiej farsy, jeśli nie będę miał dokładnej wskazówki! — postanowił twardo.

²⁶*Die verhängnisvolle Gasse* (niem.) — fatalna ulica. [przypis edytorski]

W tejże chwili dało się słyszeć skrzypienie stopni z dołu; ktoś biegł za nim po schodach i minął go.

— Może to przewodnik?

Tamten tymczasem wstępował już na drugie piętro.

Zatrzymał się na platformie. Wrzecki poszedł za nim.

Na korytarzu drugiego piętra zastał nieznanego, jak odczytywał na drzwiach czyjś wizytówkę. W chwili gdy Wrzecki dosięgnął ostatniego stopnia, odwrócił się ku niemu i popatrzył mu prosto w oczy, po czym natychmiast zaczął się wspinać na trzecie schody.

— Dziękuję! — krzyknął niemal Wrzecki, który w spojrzeniu obcego dostrzegł szczególny, jakby porozumiewawczy wyraz.

Więc to tutaj... Przyznać jednak potrzeba, że pilnują mnie do ostatniej chwili. Co za usłużność — proszę!

Bez wahania otworzył drzwi, pod którymi parę chwil temu zastał „przewodnika”. W tejże sekundzie rozległ się w głębi mieszkania suchy

trzask. — Wszedł do środka: w blaskach zachodu wlewającego się strugami w pokój stał młody człowiek z lufą rewolweru skierowaną ku czołu; widocznie w chwili wejścia Wrzeckiego usiłował strzelić, lecz broń odmówiła posłuszeństwa. Spostrzegł wchodzącego, jak skamieniały, nie zmienił pozycji. — Wrzecki ze skrzyżowanymi rękami studiował go:

— Pyszny obraz! Co za dokładność w liniach, wykończenie w szczegółach i oświetlenie, przede wszystkim to oświetlenie... Ależ pan jest niezrównanym typem — pardon! — modelem samobójcy! Co mówię! — Z pana sobowtór prasamobójcy!...

Wyrwał mu gniewnie z ręki rewolwer.

— No, dość tego! To nie dla pana zabawka! Kochany pan się pomylił. Ale to nic nie szkodzi. Inaczej nie mógłbyś spełnić swej roli. Co? Powie mi pan o zawiedzionej miłości lub długi honorowym? Fraszki, młodzieńcze, fraszki! Miałeś być tylko obrazem, symbolem dla kogo innego! Rozumie kochany pan? Dlatego maszyna spudłowała. „Pepito, ach, Pepito, ach,

tam wskażę ci, co czynić masz”.... Wesoła aryjka, nieprawdaż?

Obejrzał magazyn.

— Aha! starczy jeszcze na jeden strzał. Świetnie! Wie pan — to będzie zabawne *qui pro quo*²⁷...

Zmarszczył czoło:

— Ale, ale! Pan może mieć pewne nieprzyjemności — zawsze to w pańskim mieszkaniu... Wie pan co... powiesz im, że przyczyną była: stylizacja przypadku... a pan byłeś jej ostatnim, szczytowym punktem... Tak, tak pan powie... I pomyśleć tu, że gdybyś się tak był zdecydował parę minut wcześniej, no, no! — Spojrzał na zegarek, równocześnie odwołując kurek. — Szósta. A jednak ja sam, wychodząc dziś o trzeciej z domu, nie byłbym nigdy przypuścił, że za trzy godziny...

— Co??

— Ot, co!... — Błyskawicznym ruchem przyłożył sobie lufę do skroni i pocisnął. Tym

²⁷*qui pro quo* (łac.) — nieporozumienie, pomyłka co do osoby. [przypis edytorski]

razem broń nie zawiodła: runął martwy w słoneczny ekran posadzki.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-na-wzgorzu-roz-pozystycznej>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Nowele*, Wyd. Literackie, Kraków 1980.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Patrycja Józwiak, Paulina Choromańska, Paweł Koziół.

Okładka na podstawie: New England Appliance, Muffet@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska,

STEFAN GRABIŃSKI *Po stycznej*

30

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.